



BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA

WSPOMNIENIA
Z CZASÓW

WOJNY NARODOWEJ

I SONETY WOJENNE

STEFANA GARCZYŃSKIEGO

WYDANIE 2^e



PARYŻ
KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA
16 ULICA DE TOURNON 16.

Wydano z dubletów
Biblioteki Gł. U. M. K.

XXU 1941594 f



20.



379979



379979

W 1821/20
2.10.

PRZEDMOWA.

Dnia 20 września 1833 roku o godzinie szóstej rano umarł w Awenionie nasz ziomek i współ-tulacz Stefan Garczyński, żołnierz jazdy Poznańskiej, narodowy nasz rewolucyjny poeta. Młodość była piękna, krótka, poświęcona ojczyźnie, przyjaciółom. Urodzony w Wielkopolsce pierwsze zasady krajowego wychowania odebrał w domu, wśród własnej rodziny, a potem w szkołach Warszawskich. Następnie kształcił się w wyższych naukach na uniwersytecie Berlińskim, gdzie się szczególnie nauce prawa rzymskiego i filozofji oddawał. Oczarowany z razu nauką Hegla i jego zwolenników, krótkie swoje akademickie lata, w nowszych systematach niemieckiej filozofji przeważał. Ale jego wyższe uczucie, imaginacja, rychło go wyrwały ze steku książek i spekulacyjnych marzeń; szukał ludzi i pięknego nieba, udał się na południe, i pierwsze natchnienie poetyckiego życia uczuł w sobie na klasycznej ziemi sztuk pięknych, w starym Rzymie, gdzie (w 1829-30 r.) pierwsze próby swojego pióra tak skromnie, tak nisko cenił, że się z nimi przed najbliższym nawet tał przyjacielem, jakby z ułomnością swoją. Wówczas to zaczął pisać poemat *Wacław*, w które całą swoją czułość i tajemnice duszy swojej przelewał, a pisał je dla siebie tylko, w rozumowie z sobą, na samotności, któ-

ra przedwcześnie lubić zaczynał. Tymczasem zdrowie jego coraz się bardziej do upadku chyliło; tkliwość zbyt uczna, jakaś drażliwość i smutek niepojęty zwiększały jego słabość, gdy nagle, wieść o rewolucji polskiej gruchnęła po Europie. Nie tracąc godziny, przeleciał spiesźnie Szwajcarję i Niemcy, i zaledwo się Wielkopolanie w poznański legion szykować zaczęli, już w nim między szeregowymi Garczyńskiego widziano. Trud, niewczas, zimno, głód, nie tylko zdrowie, lecz jakąś olbrzymią siłę w niego przelały. Nieraz na pobojuwisku po dniowej rozprawie, zatknąwszy swą lancę, wśród obozowego gwaru tworzył narodowe pieśni, które młodź nasza lubiła powtarzać, i które najpiękniejszą po nim zostały pamiątką. Jego *obozowa modlitwa*, *śpiew ochotników Poznańskich wychodzących na Litwę* i inne rewolucyjne hymny znane już były za czasu wojny i z uniesieniem przyjęte przez lud i wojsko nasze. Wkrótce mianowany oficerem, pełnił czynność adjutanta przy jenerale Umińskim i do ostatniego obwołania go wodzem przez sejm i część wojska, przy nim zostawał. Jaką boleść wyrwały na nim ostatnie klęski i złożenie broni naszej w ręce nieprzyjaciół, najbliżsi tylko jego towarzysze zdolni by opisać. Niedługo rząd Pruski dozwolił mu wypocząć na łonie przywiązanej do niego familji w Poznańskim. Dotknęły go srogie prześladowania, i unikając fortec, inkwizycji i landwerskiej służby, pod obcym nazwiskiem przedarł się w styczniu (1832 r.) do Drezna, gdzie spokojnie swoje ulubione poema kończył i większą część świeżo wydanych poezji napisał. Ale z nadejściem wiosny dawno cierpienia nagle się w nim odnowiły; w miesiącu Lipcu ukazały się pierwsze symptomata suchoty a w jesieni przepowiedzieli mu śmierć lekarze. Całą zimę w okropnych boleściach przejęczał, które powiększało w nim moralne cierpienie, los naszego kraju, ospałość Europy, męczeństwo Polski; wtenczas to ulegając namowom przyjaciół, zezwolił na wydanie poezji swoich, które

później może niż sama wieść o jego śmierci rozejdą się po kraju.

Przeszłego marca przeczuł bliską i niechybną śmierć: lekarze go odstąpili. Jedyne jeszcze zostawał mu ratunek udać się do Włoch, dokąd tęsknił i tam dla siebie uzdrowienia spodziewał się. Ale był tułaczem: policja Saska od ościennych dworów podszczuwana nagliła go do wyjazdu, a paszportu do Włoch odmówili mu wielcy ambasadorowie. Wyprawiono więc go za radą lekarzy do Szwajcarji, do Bern, gdzie jakoby dla suchotników miało być bardzo zdrowe miejsce. W Bern połączył się z przyjacielem swoim który pośpieszył mu na ratunek i nie odstąpił go do ostatniej godziny. Próżne były wszelkie zabiegi dostania się do Włoch i wielcy dyplomaci odmówili mu paszportu nawet do skonania pod piękniejszym niebem. W nadziei że z Francji łatwiej mu będzie tę jedyną łaskę wyżebrać puścił się przez Genewę do Awenionu, zkąd do Marsylji miał się udać. W ostatnich tygodniach mało już cierpiał i skarżył się tylko na słabość sił która mu nie dozwalała dalej jechać. Jego skonanie było lekkim zaśnieniem na wieki; gotowość umrzeć i krótką młodość swoją sam odmalował w chwili przeczucia:

Jam się w szkole nieszczęścia jako wiatr na górze
Wychodował i wyrośł, jak wiatr może zginę,

Ale przeczekam jeszcze tę jedną godzinę
I przyjmę z męstwem równém, na co bądź zasłużę.

Przytoczymy do nekrologu skreślonego przez Adama Mickiewicza w październiku 1833 r. wyjątek z listu ś. p. hr. Arnolda Skórzewskiego, pisanego 29 listopada tegoż roku:

« Stefan Garczyński urodził się we wsi Kosmowie roku 1805 pod Kaliszem. Ojcem jego był Franciszek Garczyński, pułkownik wojsk polskich, a matka z domu

Radolińska. Straciwszy rodziców swoich w roku siódmym życia swego był przez moją matkę jako rodzoną siostrę ojca jego do domu naszego wzięty, i ztąd dalej wychowany, w dziesiątym roku życia swego, posłany był przez moich rodziców, najprzód do szkół Missjonarskich w Trzemesznie, potem do gimnazjum w Bydgoszczy, a nakoniec do liceum w Warszawie, gdzie ukończywszy szkoły w roku 1823, zawsze celując tak swoją pilnością jako i zdatnością powrócił był do domu moich rodziców, zkąd w roku 1824 był na Uniwersytet Berliński posłany i tam przez cztery lata tak kursów prawnych jako i kameralnych słuchając, najbardziej się oddawał kursom filozoficznym Hegla i Gansa. Na początku roku 1829 udał się na zwiedzenie krajów cudzoziemskich, tym końcem począł od Włoch w których chcąc przez dwa lata przebywać ztamtąd dopiero inne kraje miał zwiedzać, i tymczasem zaszła epoka rewolucji w Polsce, opuścił cały swój zamiar dla stawienia się w szeregiach swych współbraci: odbywszy całą kampanję przeszedł z całym wojskiem granice pruskie i znów powrócił do domu naszego jako do swego rodzicielskiego domu. Tu chciał był się poświęcić przez niejaki czas pracom swoim, lecz rozrządzenia rządowe nie dozwoliły mu tego, a chcąc uniknąć dalszych kar, udał się do Drezna. »

Czytamy w przedmowie wydania pism Garczyńskiego przez hr. Stanisława Skórzewskiego, krewnego poety i jak on przedwcześnie zgasłego :

«Podróż do Włoch w roku 1829 zbliżyła Garczyńskiego z Mickiewiczem... Przyjazń prędko zawarta, okazała się równie płodną jak trwała. Adamowi nie trudno było odkryć pokrewną sobie duszę w Stefanie, a zachęty z ust takich wychodzące ośmieliły młodego poetę do pisania i wzbudziły zaufanie we własne siły... Na wieść o powstaniu rzuca rozkoszne nadbrzeża Neapolu i dąży do Warszawy. Po daremnych usiłowaniach narodu w obronie

wolności, Stefan musiał iść na tułactwo; z Drezna pisał do Heliodora Skórczewskiego, 30 maja 1832 roku: *«Błogosławieni którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie, mówi Pismo Święte. I przyjdzie czas sądu, zemsty okropnej: ten, że jest nie daleko, przeczuwam»* — 18 Sierpnia 1832 r.: *«W młodym jeszcze wieku miałem duszę otwartą uczynom chociaż obcym, ale godnym uwielbienia. Dzisiaj ta chęć widzenia, znajdowania jak najwięcej szlachetności na tym świecie, coraz się bardziej wzmaga, a przyjaciela czyn, kiedy wyższy i z ofiarami osobliwie połączony, anielską mi sprawia rozkosz. Dziękuję Bogu że żyję jeszcze na świecie i sam się wywyższam, czuję, jestem na chwilę szczęśliwy ... Życie nasze bez wzniosłych uczuć i czynów pustynią okropną.»* — 27 sierpnia 1832 roku: *«Ja kogo raz ukocham, długo i bardzo długo miłuję. Od innych nie w tej samej mierze odpłaty wyciągam. Niechby w przyjaźni stygli codziennie, mnie tylko tego czuć nie dawali. Serce moje coraz drażliwsze, bowiem z wiekiem na czuciu dobytek ustawiczny, a tak lada cień, słowo, pozor, rani i okropnie rani! Gdyby nie to dziecinne usposobienie, byłbym zdrów jak inni, czerstwy jak inni, wesół jak inni.»* — 27 kwietnia 1833 roku: *«Wiem że, mnie Opaczność, jak dotąd nie opuszczała, tak i później nie opuści na przyszłość więc mało dbałym jestem. Nie troszczę się zupełnie o mnie. Jest świat wyższy, który ludzi jemu służących prowadzi i kieruje.»*

«Mickiewicz i hr. Klaudja Potocka otoczyli miłością i pieczą jego łożo boleści i śmierci. Wielki wieszcz Walenroda i Tadeusza, już zaraz po swoim przybyciu do Paryża, zajął się był wydaniem poezji Stefana, które w roku 1833, w dwóch tomach się ukazały, a zmarłemu przyjacielowi następny w Awenionie położył nagrobek

D. O. M.

STEPHANUS GARCZYŃSKI

MILES

IN BELLO CONTRA MOSCOVIE TYRANNUM
EQUITUM POSNANIENSIIUM
CENTURIONIS VICES GESSIT.

VATES,
POLONORUM ARMA VIROSQUE CEGINIT
PATRIA A TYRANNO OPRESSA
EXUL.

OBIIT AVENIONE
ANNOS NATUS XXVII.

STEFAN GARCZYŃSKI
JAZDY POZNAŃSKIEJ PORUCZNIK
KRZYŻA WOJSKOWEGO KAWALER.
UR : W KOSMOWIE 1806 R.
UM : W AWENIONIE D. 20 WRZEŚNIA 1833.

—CO—

NB. Hr. Arnold Skórzewski, w liście swoim, podaje rok 1805 jako rok urodzenia Stefana Garczyńskiego; Mickiewicz zaś w nekrologu swoim wymienia rok 1806, i tę datę na nagrobku umieścił. Zostawiamy obydwie daty, nie mając obecnie środków stanowczo tę kwestję zdecydować.

WSPOMNIENIA
Z CZASÓW
WOJNY NARODOWEJ
1831 ROKU

—o0o—

*Spół-towarzyszom broni i Spół-pielgrzymom,
Poświęca Autor.*

I.

ZAPALENIEC MŁODY.

(Dnia 16 Grudnia.)

Uciekajcie ludzie zgody,
Bo to zapaleniec młody.

Każda choć najdrobniejsza o kraju przemowa
W oczach żar mu obudza i lica płomieni,
Tworzy wnioski z słów błachych, ciało tworzy z cieni;
Przewrotna — zawiechrzona — bezzasadna głowa —
Jednem słowem, ludzie zgody,
Zapaleniec jest to młody!

Niezgodny, niespokojny, gardzi nędzną radą.
U niego czyni wszystkim, i nie patrząc końca
Co tylko u nas widzi chrzci, nazywa zdradą,
Jak ptak nocny co nigdy znieść nie może słońca,
Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Plwa codziennie na czasy, ludzi, na ster rządu;
Że źle idzie w ojczyźnie, krzyczy i powtarza,

Nie wierzy w żadne łaski i listy cesarza,
 Każdy zdrajca u niego wart kary i sądu.
 Jednem słowem, ludzie zgody,
 Jest to zapaleniec młody!

Niestety! ma przyjaciół, stronników nie mało!
 Boć ludzi nie rozumnych lada co odurzy;
 Ztąd gniewy, narzekania, za to co się stało;
 Przekleństwa na praw naszych i ojczyzny stróży!
 Jednem słowem, ludzie zgody,
 Jest to zapaleniec młody!

Koniec — koniec położyć obowiązkiem świętym,
 Kto wraz z nami do celu spokojnego mierzy;
 Dość szaleństw — dość odmetu — tylko mocnym pełe
 Skrępujmy ręce — czucie — i myśl tych szermierzy!
 Sądu! sądu ludzie zgody,
 Zdrajca zapaleniec młody! (1)

Zgadnij co było! w prawdzie mógł osieć słowika
 Jeżeli nie prześpiewać to zagłuszyć rykiem;
 Ale aby bój zacząć i walczyć z młodzikiem,
 Trzeba mieć prawdę, ducha i siłę młodzika!
 A tak wszystkich ludzi zgody,
 Zapaleniec zwalczył młody!

NA DZIEŃ DETRONIZACJI.

(Dnia 25 Stycznia.)

Krzyczcie na wszystkie cztery świata strony:
 Niechaj od jednej do drugiej krawędzi,
 Głos nasz przez lądy i morza popędzi,
 Na głowie cara nie masz już korony!
 Kradzione złoto ze skroni mu zdarto,
 Polski wojownik berło mu wytrąca;
 Ludy spółbratnie! od wieków tysiąca,
 Dzieje podobną nie zabłyśły kartą!

Jednemu Bogu z niczego przystało
 Świata olbrzymią wystawić budowę;
 My po nim pierwsi, sercem wzmogli ciało,

(1) *Ścigano wielu członków Towarzystwa patryjoty-
 go, którzy przeciwko dyktatorowi powstałi.*

Duchem stworzyli zastępy bojowe;
 A słowem jednym jak kiedyś prorocy,
 Ze szponów orła i cara północy
 Wybili berło wolności narodu.
 Ludy! to czyny — pierwszych chwil zawodu.

Rok tylko życia, a dziecko w olbrzyma,
 Młodzieńczy naród w siły świata wzrośnie;
 Rok tylko życia! — a po jednej wiosnie
 Słońce mnogimi zabłyśnie oczyma!
 My orłem białym wiewając na przodzie,
 Gdy krwawy bęben zagrzmi wojny hasło,
 Przechodzić będziemy naród po narodzie,
 Bagnetem błyszcząc gdzie światło zagasło!

W tenczas wy ludy, za piersi przedmurzem
 Wolnych Polaków danych na ofiary,
 Berła, korony ciężkie wieków kurzem,
 Z rąk niedoleźnych, z głowy strąćcie starej!
 A gdy w rodzinę jedną świat się zmieni,
 Królów nazwiska będą dzieci strachem:
 Kończąc do czego my dziś przeznaczeni,
 Pod rodzicielskim wypoczniemy dachem.

DO WOJSKA POLSKIEGO.

(Dnia 6 Lutego gdy Moskale Bug przeszli.)

Zedrzyjmy dawne z proporców sztandary,
 Gdzie męczenników zabutwiała truna?
 Ztamtąd dobądźmy krwawego całuna,
 Niech jak płaszczy lekki krwi łaknącej mary,
 Wzbija się w górę!

Ot patrzcie — patrzcie! — car napędził chmurę
 Narodów swoich — już spadła na ziemię
 Ojczyzny naszej, i kurzem się wlecze!
 Jak rój błyskawic co w obłokach drzemie,
 Krociowe z dymu skrzą się ostrzem miecze;
 Jak bracia wichry gdy huczne z obłoków
 W prawo i lewo łamią sobie drogi;
 Miasta w perzynę zdeptały ich nogi;
 A pęd gwałtowny barbarzyńca kroków! —

Gdzie są pioruny? — ach niema proroków!
 Już Bóg nie mieszka w przymierza kościele.
 Więc naprzód młodzi wolności mściciele!
 Niech nasz proporzec nad rycerstwem wieje!
 Ich tłumy liczne — nas prawda niewiele,
 Lecz niosąc w piersiach rozpacz i nadzieję,
 I wolność — przed ich tłumem niewolniczym
 Staniemy z groźnym sędziego obliczem.

Ich kule ślepe — z krwawym ludzi potem
 Z otchłani ziemi olów car wyważa;
 Nasze gwiazdziste, gromów prędkim lotem
 Przejrzą dumnego szeregi mocarza:
 Bo olów na nie ksiądz wybrał z ołtarza,
 Na proch wymienił biedny kmiotek sprzęty;
 Ojciec dał dzieci do broni ognistej,
 A Ojciec wyższy, w trzech osobach święty,
 Dzieciom ojczystym wlał zapal ojczysty.
 Więc naprzód dzieci! czas woła do bitwy —
 Strzelajmy, bijmy, najeźdźników hordy!
 Dziś cnotą zdrada — dziś zasługą mordy,
 Dziś jedną myślą za wrogiem gonitwy!

Gdy ich wymieciem z Korony i Litwy,
 Nie zatrzymane ni Dniestrem ni Dźwiną
 Niech pułki idą; wciąż walczą i giną;
 Aż zatkniesz sztandar z całuną uszytą,
 Gdzie był ostatni męczennik zabity.
 Chorągiew naszą z całuną uszytą
 W trjumfie zatkniesz nad Dnieprem i Dźwiną,
 Spytały cara z dumną jak on miną
 Gdzie męczenników krew których zabito?

ŚPIEW

PO PIERWSZEJ BITWIE I ZWYCIĘSTWIE POD STOCZKIEM
 (Dnia 14 Lutego.)

Zaśpiewajmy cześć rycerzom,
 Polskim hufcom cześć;
 Niech najwyższe wieże wieżom
 Dzwonem głoszą wieść:
 Że już bagnet się z bagnetem
 I miecz z mieczem wdał;

I my z małym sił poczetem
Dziesięć wzięli dział.

Tam pod Stoczkiem jeszcze ślady
Ich radlących kul,
Bo osiadły nas gromady
Jako pszezoly ul.
A Gejsmara na ich czele
Możny stawił wódz,
Tysiącami — nas nie wiele
Chciał od razu stłuc.

Zagrzmiał ku nam z dział bez liku,
Konie popchnął wprzód,
Czernił się tam szyk po szyku
I po ludach lud.
Sam dowódzca był straszliwy,
Zna go Turków pan;
Mnogiem wojskiem obległ niwy,
My zaledwie łan.

Ale szabla słuchoa dłoni,
Czuje jeździec koń,
Wódz nasz krzyknął : bij, to oni!
Wróg porzucił broń.
Dziesięć dział ulanych z spiżu
Pełno żywych głów,
A czterysta tuż przy krzyżu;
Zakopano w rów.

To twój pierwszy liść wawrzynu,
Żyj Dwernicki nam!
Tylko naprzód Polski synu!
Wszędzie jak dziś łam;
Wszędzie jak dziś bierz armaty
I w pień wroga siecz,
Aż wyszezerbisz jak przed laty
Na Kijowie miecz.

BITWA POD GROCHOWEM.

(Dnia 25 Lutego.)

Któż się zląkł twych żołnierzy okutych w żelazo,
Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spiżu?

« Zgniotę, zniszczę zuchwalców, i za jedną razą
 « Ujmę świat — drżyj Londynie, drżyj podły Paryżu!
 « Naród cały mym nogom zwyciężkim podścielę, (1)
 « Rzuca się wszystkie ludy pod cesarskie stopy,
 « A ja z tronu mojego jak Pan Bóg w kościele,
 « Mieczem, prawa napiszę ludom Europy! »

Rzekł — rozkazał, — z zimową zamiecią i śniegiem,
 Na skrzydłach wiatrów trąba zawrzała chrapliwa,
 Po wszystkich czterech stronach świata się odzywa,
 Ze wszystkich czterech części lud jarzmi szeregiem.
 Tak kiedy morskie wały księżyc pan zdaleka,
 Podszczuje gniewnem w chmurach zakrwawionem okiem,
 Morze piersi wydyma, łeb podnosi, szczeka,
 I ziemi całej gardłem zagraża szerokiem :
 Tak na rozkazy cara, zastępem bojowym
 Pułk leje się za pułkiem w pole pod Grochowem.

Słońce było już weszło. Warszawa z mgły siwej
 Świątyń krzyżami w słońcu błyskając wysokiem,
 Spokojna — jako w duszy naród nieszczęśliwy,
 Wyjrzała na obszerne zawiślańskie niwy
 Okiem nie trwożnem prawda, ale czułem okiem!
 Tak dziewica spogląda wszecz morskiej powodzi
 Gdy jój kochanek życie słabej zwierzył łodzi.
 Widzieć w naszej stolicy było bez przestanku
 Na każdym wyniesieniu, na każdym kruzganku
 Tłumy ludzi ciekawych : — tu matka z dzieciną
 Łzawem przebiega okiem rozstawione szyki,
 Tu starzec z zadumaną, z zasępioną miną
 Spychając jedną ręką różańca krzyżyki,
 Drugą liczy armaty i głąb wojska zmierza.
 Tu znów ksiądz od kielicha, hostji i pacierza
 Na wieżycę szczebluje, wypadków ciekawy,
 Bo od nich los ojezyny, los zawiśł Warszawy.

Plac bitwy jest obszerny. — Nasze prawe ramie
 Chwyciło las olszowy, lewe Białolekę
 W środku konnica skrzydłom podawała rękę :
 I tak szeregi stały jak tama przy tamie

(1) « *Je foulerai aux pieds la Pologne, et je marcherai
 contre la France* » słowa cesarza rosyjskiego.

Czekając nawałnicy. — Z gęstego drzew piaszcza
 Którym w półokrąg dalej najeżone lasy,
 Wyglądały czarniejsze silnych wrogów massy,
 I zabłysnęło czasem: to armaty paszcza
 Na naszych skierowana — to lont — bagnet w świetle;
 Albo rzędem na zwiady kozacka konnica
 Ciągnie z borów, wśród dymu jako czarownica,
 Kiedy z gardła komina wyleci na mietle.

My rupe nie żądamy! jak Wisła spokojna
 Kolebie w łonie swoim rysunki kościołów,
 Tak w żołnierza sumieniu — wojna, krwawa wojna
 Nie panuje — on tylko chce z tłumu popiołów
 Pamiątki wskrzesić przodków, ojczyznę, swobodę!
 Starzec, pomny na dawne Kościuszki zamiary,
 Porwał za broń i sypiąc w broń zabójczy ołów
 Myśli, że mu się jeszcze wróćą lata młode.
 Młody pamięcią zbiega co doświadczał stary,
 Marzy jakim był Polak i zostanie jakim:
 A każdy chce być tylko wolnym i Polakiem.

Lecz słuchajcie — grzmot blizki, patrz, armat czterysta —
 I pułków dwieście rusza, wysuwa się z lasu,
 Artylerja z najmniejszych pagórków korzysta
 Słychać komendę wodzów — zgiełk — pełno hałasu —
 Konnica nieprzejrzana wśród kurzu wyrasta.
 W tej chwili dzwony na mszę uderzyły z miasta;
 «To dzwony są trjumfu! rzekł wódz z głośnym śmiechem
 «Przed wieczorem w Warszawie wypoczniecie z pracy,
 «Patrzcie na tę ich garstkę, ot wszyscy Polacy.»
 I śmiech wodza w szeregach odbijał się echem,
 Jak nad skałami kiedy z błyskiem zagrzmia chmura;
 Aż w końcu do tysięcznych ust ciągnąc z tysiąca
 W grzmienie przeszedł niedźwiedzia i w skrzeki zająca;
 Głos dwakroć stotysięczny razem wrzasnął hurra!
 «Więc armaty niech biją — kolumny piechoty
 «Tymczasem las ten wydrą z rąk nieprzyjaciela»
 Rzekł — lonty błysły w górze i razem jak z nóty
 Piorunem całej linji artylerja strzela.

Odpowiedziała nasza, — zadrżało powietrze —
 W dymie, jak w piaszczu duchy, nasze kanonierzy
 Klęcząc dodają oka kulom i saletrze,

Chociaż za nasze jedno ich dział bije cztery,
Chociaż ognie ich ryczą jak wulkan w wybuchu,
Dość spojrzeć na ich szyki niespokojne w ruchu,
Które chwieją się ciągle jak na fali łodzie,
Dość spojrzeć na chwilowo rozprysnięte kupy,
Kiedy kula im z czoła wnętrzości przebodie,
Żeby za błyskiem naszym leczyć wrogów trupy!
Z stron obydwóch, kul tysiąc powietrze rozcina,
A jako twierdzę, kiedy prochu pęka mina,
Kamienie, cegły, dachy, rozrzuci szeroko,
Albo jak owa lawa gór strzaskawszy głowę,
Kiedy z wnętrza ciemnego wyświeci swe oko,
Wszystko po drodze niszczy, rozmiata i pali,
Tak granaty gdy śmigniem w kolumny pułkowe
Ręce, nogi, w powietrze unoszą Moskali!

Strzelajcie, napastnicy! nam w naszej obronie
Zimny proch posłuszniejszy, oko lepiej świeci,
Bo my broń ojców wzniesli na obronę dzieci,
Mąż umrzeć lub zwyciężyć na krzyż przysięgi żonie;
Na nas ojczyzna cała, świat buduje cały,
Szeregom bitnym, przodków orzeł wieje biały!
«Więc naprzód w imię Boga! na las wróg przypuszcza;
«Czwartego pułku bagnety już poznała tłuszczą,
«Drugi się już odznaczył — grenadjery piąty
«Dziś na was mężni kolej — niech baterja bliska
«Kartaczami ładowna, zajmie ich ukosem;
«Naprzód!» — z krawędzi lasu jak iskry z ogniska
Tysiąc bagnatów błyszczy, migają się lonty,
Lecz i wróg nie daleko. Jako kłosa za kłosem
Wiatrem na polu wiewa gdy rodzajne pole,
Tak głowy pułków licznych, tak zgarbione ciała
Idą ślepo wypełniać narzuconą wolę.
Krzyk okropny — tu czarna — tam chorągiew biała
Na ich czele dowódca konno się uwija,
Bęben grzmi — już do lasu przeciska się szyja,
A za nią smok ich wojska czarne suwa kłęby;
Już bagnety na naszych jako z paszczy zęby
Obrócili z stron wszystkich — strzał pada na strzale:
Hurra! hurra! i zewsząd cisną się Moskałe!

Bagnet spał się z bagnetem aż w piersiach przepada,
Gromada jedna padła, znów druga gromada —

Żołnierz polski tysiące trupów w lesie kładzie :
 Ten cara przeklinając — coś o dzieciach gada
 I umiera — ten — ów się już nie wzbudzi
 Ile drzew tyle przy nich konających ludzi,
 A trupy leżą w śniegu jako gad przy gadzie
 W naczyniu mleka pełnem — nakoniec w nieładzie
 Reszta pierzcha gwałtownie — ścigają ich nasi,
 O zagnali daleko ! — lecz słuchaj, jak w mieście
 Gdy wiatr mocny, na rzędem rozstawione domy
 Pożar się rozeźrze nikt go nie ugasi :
 Tak oni, pułków mając uzbrojonych dwieście,
 Posłuszni woli cara jak wiatrom żdźbła słomy,
 Powtórnie życie swoje na harc wszyscy niosą,
 Powtórnie znów padają jak zboże pod kosą.
 Cóż tysiące im znaczą ? Próżno wróg uparty
 Całe rzędy żołnierzy, jak stawiane karty
 Ręka dziecięcia, lada podmuchem utracą :
 Niemordowana we krwi najeźdźników praca !
 Trzykroć odparci byli, trzy godzin bez przerwy
 Bój, nie — rzeź trwała w lesie — nakoniec rezerwy
 Ostatnie wróg wprowadza — pola czarne ludem.
 Nasi walczą ! — choć ręka wysiłona trudem
 Choć dziesięć na jednego z wszystkich stron nastawa,
 Każde drzewko jest twierdzą, każdy błysk śmierć rzuca.
 I było widzieć w końcu gdy strudzone płuca
 Z stron obydwóch ucichły, zmniejszyla się wrzawa,
 Jak nasi za odgłosem trąby do odwrotu
 Podpaliwszy brzeg lasu przeciągali w dymie,
 Każdy ojczyzny drogięj na głos krzycząc imie,
 I wyświeżone ogniem czoło pełne potu,
 I oko rozżarzone, i broń przytępioną,
 I wrogowi raz jeszcze pokazując łono.

To się na prawem działo — lewego już wprzód
 O zwycięztwie zupełnem chodziły pogłoski ;
 I tam — świadkiem krwią zlane domy i ogrody.
 Dwa razy żołnierz polski wroga wyparł z wioski,
 Pędząc przed sobą długo przemożne zastępy :
 Z prawego i lewego bagnet nie był tępy.

Przerwa w bitwie na chwilę — Wódz strony przeciwnej,
 Plan ostatni ułożył gwałtowny i dziwny,
 Konnicą na sił naszych uderzyć ognisko :

Jeżeli punkt ten przełamie, a pewno go złamie,
 Jednym popędem koni stanie w miasta branie.
 Tak więc choć mroźna ziemia — niebezpieczno — ślizko —
 Na kolumnę żelazną wskazać swoim palcem; (1)
 Nazwał Polaka w gniewie warjatem, zuchwalcem;
 I gdy trądy zawrzały, już szeregi tłumne
 W mgnieniu oka z stron wszystkich pędzą na kolumnę!
 Oktawami głośniejsze im prędszy bieg koni (2)
 Dowódców słychać zewsząd wrzaskliwe komendy;
 Stęp kopyt jak grzmot ciągnie — jak pękanie lodu
 Gór alpejskich; ich trąba coraz głośniej dzwoni,
 Jak wały rozhukane, w galopie ich rzędy
 Płyną, huczą, wrą!

Czyście widzieli dzikich koni stado
 Gdy po puszczech wiatr goni rozdętymi boki?
 Czyście słyszeli ryki tysiąca niedźwiedzi?
 Taką, jak dzikie konie, pułki ich gromadą,
 Lecą, bijąc tumany pod same obłoki,
 Tak jak niedźwiedz, gdy z gniewem już na pastwie siedzi,
 Tysięcy jeźdźców wrzaski rozdarły powietrze,
 Na proch garstkę Polaków koń, i jeździec zetrze!

Kirasjerów pułk gwardyi nieśmiertelnym zwany,
 Sadąc czarnymi końmi przez szerokie łąny
 Przodem pędził — z pod płaszcza, z pod rozwartej pachy,
 Bo każdy wyniesioną w górę broń swą trzyma,
 Puklerzów błyszcza złotem rozświecone blachy,
 O blachę grzmi pistolet na długim rzemieniu;
 Szyszaki na ich głowach drgają czarną kitą,
 I broń leci za bronią, oczy są oczyma,
 Koń z koniem, człek z człowiekiem, ramię przy ramieniu,
 Cóż się stało? — uciekli! a resztę zabito.

Cóż się stało? — uciekli — tylko rzędem długim
 Koni pełno i ludzi po ziemi się wala;
 Tylko w blachy ich złote jak młoty kowala

(1) *Kolumna żelazna niedaleko Grochowa.*

(2) *Komendy rosyjskie w ataku coraz głośniejsze im żywiej nacierają, tak więc stęp zwyczajnym, kłus mocniejszym, galop wrzaskliwym, a marsz zupełnie cieniem głosem komenderują.*

Biją lance, bagnety — a pułk piąty z drugim
 Ułanów naszych dzielnych, wypuściwszy konie,
 Długo ich jeszcze ścigał przez grochowskie błonie,
 Aż z nocą — nigdzie wokrag nie było Moskala!

Któż się zląkł twych zastępów okutych w żelazo,
 Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spiżu!
 « Zgniotę, zniszczę zuchwalców i za jedną razą
 « Ujmę świat — drżij Londynie, drżij podły Paryżu!
 « Naród cały mym nogom zwyciężkim podściele!
 « Rzuca się wszystkie inne pod cesarskie stopy,
 « A ja z tronu mojego jak Pan Bóg w kościele
 « Mieczem, prawa napiszę ludom Europy! »

HYMN ZWYCIĘSTWA

PO BITWIE POD WAWREM I DĘBEM.

(19 Lutego i 31 Marca.)

Z wiosennych kwiatów niech koronki wiją,
 Na laur żołnierzom dziewię naszych ręce;
 Niechaj lży starca, i krzyki dziecięce
 Błogosławieństwem w szczyty niebios biją;
 Niech zabrzmia dzwony, i organy szyją
 Nadętą w hymny uderzą;
 Sztandar nad każdą niech zabłyśnie wieżą:
 Moskal pod Wawrem pobity!

O gdybym śpiewem mógł uczucie w granity
 Wsączyć i łzami rozłworzyć krew ludzi,
 Śpiew mój, jak obłok ciągnie przez błękity,
 Światy przeleciał zimny, nieużyty.
 Łzyby paliły — ale któż obudzi
 Płaczem i pieśnią zwyczajną,
 Ludy służalcze i ziemię sprzedają
 I starców w młodości wieku!

Precz więc zgnuśniały bez serca człowieku,
 Nie dziś dla ciebie brzmią zwycięstwa hymny;
 Wiekom śpiewamy — i wiek je po wieku
 Jak skrzydło w polocie wiatr zimny,
 Dopchnie ku przyszłej prawnuków puściźnie,
 Co dziś zabrzmiało w ojezyźnie;

Hymn nasz, on w świata rozrośnie się hymny
Zwycięzcom, wojsku, wodzowi!

Śpiewajmyż wszyscy — niech każdy pozdrowi
Jak żeglarz gwiazdę, orła przy pogoni
Wieszczę! zdejmujcie laur dawny ze skroni,
I wielkiem kołem do śpiewu gotowi,
Dzisiaj w zieleńsze ubierzcie się wieńce!

Oto są moskale, jeńce!
Oto armaty, oto ich sztandary!
Zdobyło je wojsko wiary!

- « Niech żyje wojsko, bracia, przyjaciele;
- « Dziś czas zmartwychwstać kto obumarł w duchu!
- « Już alleluja śpiewają w kościele.
- « Dalej do broni, do życia, do ruchu,
- « Zapalcie wszystkie razem w kraju wieci!
- « I z nami starcy, kobiety i dzieci!
- « Obóz nasz będzie ojczystą zagrodą,
- « Wszystkich na wroga niech wiodą! »

MODLITWA OBOZOWA.

(Dnia 7 Maja w obozie pod Rudzienką.)

Nie na różańca pierścienie
Dziś liczymy modlitwy nasze,
Niech grzmiały działa, lśnią pałasze,
I za szeregowie pienie
Ozwa się jedne modlitwy :
Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Nie ten z Bogiem, kto pacierze
Z książki odczytuje pilnie ;
Bóg z tym trzyma nieomylnie,
Kto w wolności działa wierze!
Nasze więc jedne modlitwy :
Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Kraśne są Niemna doliny,
Kraśniejsze Litwinów serca,
Złączą się z nami Litwiny,
Życie skończy przeniewierca;
Dziś niech wspólne grzmiały modlitwy :
Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Tam wystawim ołtarz wiary,
 Ołtarz będzie nad ołtarze;
 Czołem mu wytną mocarze,
 Car nam stanie na ofiary.
 Hej za wrogiem dziś gonitwy :
 Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Kędy słupy Bolesława
 Groźne rozbijały fale,
 Niech nasz kościół bracia stawa,
 Ja w nim kadzidla zapalę;
 Bo znam waszych serc modlitwy :
 Do Litwy, — dalej — do Litwy!

Proch wygrzebiem z ziemi głębi,
 Ofiar drgające ostatki;
 Niech się w niebo dym rozklebi,
 Niebo nam służy na świadki,
 Na świadki mściwej modlitwy,
 Nieszczęść Polski, nieszczęść Litwy!

Łzy współbraci, niech za ciało
 Za krew w kielich leją księża;
 W jęk niech kapłan śpiew wyteża,
 W jęk piekielny : — « tak się działo! »
 My śpiewajmy krwawe bitwy :
 Mordy Polski, mordy Litwy!

Czas zastąpi ofiarnika,
 Zimny świat nam mszy posłucha,
 I za odmiar nędzy ducha
 Niech go śpiew nasz wskroś przenika!
 My śpiewajmy krwawe bitwy :
 Mordy Polski, mordy Litwy!

Jako iskra gdy w przelocie
 W ciało pryśnie, płomień wznieci,
 Tak śpiew nasz ziemię przeleci
 I zapali duchów krocie;
 Śpiewać będą krwawe bitwy,
 Trjumpf Polski, trjumpf Litwy!

Świat cię przeklnie dumny człeku,
 W tobie nieszczęść wszystkich wina,

Kłąć cię będzie wiek po wieku,
 Jak cię śpiew mój dziś przeklina :
 Giń morderco Polski, Litwy,
 Oto koniec mej modlitwy!

ŚPIEW.

OCHOTNIKÓW POZNAŃSKICH WYCHODZĄCYCH NA LITWĘ.

(Dnia 26 Maja.)

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom,
 Dalej bracia pędźmy w biegu;
 Tam na tamtym Litwy brzegu —
 Nieśmy wolność Litwy błoniom!

GŁOS.

Kto bez serca niech się wstrzyma,
 Tępy wzrok niech duszę mroczy;
 My wolności mamy oczy,
 A wzrok wolny granic nie ma!
 Z biciem serca idzie w parze,
 Z myślą leci w niebios szczyty,
 Prochem przed nim są mocarze,
 Sam Bóg przed nim nie ukryty

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom,
 Dalej bracia pędźmy w biegu;
 Tam, na tamtym Litwy brzegu —
 Nieśmy wolność Litwy błoniom.

GŁOS.

Patrzcie o litewskie syny!
 Niech weselne zagrzmią dzwony,
 Oto pierścień nie zgwałcony
 Śle wam Polska w zaręczyny.

On z prawicy Franków zdjęty,
 Świat cały kiedyś zaręczy;
 On przymierzem nakształt tęczy!
 Bierście bracia pierścień święty!

CHÓR.

Hej, rozpuśćmy cugle koniom, etc. —

GŁOS.

Litwa z Polską, Polska z Litwą !
 Jedne ich cele, nadzieje;
 Tylko bitwy wciąż za bitwą,
 Bronią pędźmy czas i dzieje !
 Za broń, za broń tylko żwawo,
 Dość już więzów, dość niewoli,
 W ludów życia inna kolej,
 Wszak i słońce wschodzi krwawo.

CHÓR.

Hej ! rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Niech się krew leje strumieniem,
 Krew ta drogo zapisana;
 Ona spłynie pokoleniem,
 Kar i nieszczęść na tyrana;
 Anioł z nieba, w złotą czarę
 Każdą kroplę krwi tej zbiera :
 Wie każdego — kto umiera
 Za wolność — ojczyznę — wiarę !

CHÓR.

Hej, rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Tak więc za ślubne ołtarze,
 Za godło jedności naszej,
 Niechaj Litwa z Polską w parze
 Podniesie ostrze pałaszy.
 Śmierć albo zwycięztwo wszędzie,
 Wolność lub śmierć wszędzie razem,
 Niech przysięgą naszą będzie,
 Ślubu naszego obrazem !
 I rozpuśćmy cugle koniom,
 I za wrogiem pędźmy w biegu ;
 Polska, Litwa, na tym brzegu —
 Cześć, cześć Polski, Litwy błoniom,

CHÓR.

I rozpuśćmy cugle koniom,
 I za wrogiem pędźmy w biegu ;
 Polska, Litwa, na tym brzegu —
 Cześć, cześć Polski, Litwy błoniom !

NA DZIEŃ POSPOLITEGO RUSZENIA.

(Dnia 4 Lipca.)

Otwórzcie bracia świątyni podwoje,
W lilje i róże obstrójmy ołtarze;
Niech kapłan bierze mszy tajemne stroje,
I w dzwony zagrzmieć rozkaże!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia;
I o Boga słuch uderzą!

Zagaśmy światła gromie godnych nocy,
Wszereż okna wszystkie otwierajcie księża;
Zbrodnia niech mroków przyzywa pomocy,
Przy słońcu cnota zwycięża!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia,
I o Boga słuch uderzą!

Świątym jest kościół! — ale dziś kościoła
Obręb za mały dla wolności ducha;
Na bok więc mury! — gdy lud cały woła,
Niebo i ziemia niech słucha!
Unośmyż ołtarz! — on światło powita,
Przed światem całym niech mszę kapłan czyta,
Ona mąk naszych obrazem!

Mordy, pożogi, gwałt żonom zadany,
Zniewaga dziewic, nasza rozpacz zimna,
Niech będzie treścią bogobojną hymna —
Tak prośmy Pana, nad Pany!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia,
I o Boga słuch uderzą!

Przecież kto ręczy, że zaczęte modły
W umarłych ustach nie zastygną razem?
Wróg nam zagraża ogniem i żelazem —
Nadzieje często zawiodły.
Więc dzisiaj głosy wiary i cierpienia
Niech śmiała ręka w śmielszy czyn zamienia:
Do broni, ludu, do broni!

Nie czekaj bracie aż ksiądz od ołtarza,
Morderczą ręką będzie wywleczony,

Nieczynność Boga i ludzi obraża ;

Rękę dał Bóg do obrony,

Ręka uderzy! — godzina wybiła

I padnie przed nią nieprzyjaciół siła.

Do broni, tylko, do broni!

Kapłan w ornatach z krzyżem i kadzidłem

Niech naprzód idzie, prowadzi gromadkę :

Ojcowie, syny, opuszczajcie chatkę,

Pod Boga zostanie skrzydłem,

Czekają na was bracia, przyjaciele,

Jak podniesienia pobożni w kościele,

Jak nieba bliski skonania!

A wy dziewice, skoro szyk bojowy

Wszystkie świąteczne chorągwie rozwinie,

Bierzcie Marję! — niech wianek liljowy

Ozdobi Matkę przy Synie,

I wszyscy razem — naprzód żwawo dzieci,

Gdy błyszczą żarem pagórkowe wieci,

Na wroga, wszyscy, na wroga!

Jak wały morskie gdy je wiatry wzmoga,

Jak błysk, gdy chmura podniebowa ciśnie,

Taką po wrogach będziem deptać nogą,

Taki grom z ręki wyblśnie!

Próżno się dumny odgraża siłami

Bóg, Wiara, Wolność, dziś walczą za nami,

Biada mu, biada na wieki!

Tylko wytrwale, a z Bogiem skończemy,

Tylko z tą wiarą co przodkowie czcili,

Tylko się w cnoty niech każdy wysili,

Na zbrodnię głuchy i niemy :

I za broń bracia! — modły i cierpienia,

Bóg z bronią naszą w cuda pozamienia,

Do broni, Jezus Marya!

Niech głos do broni jak tchnienie zarazy,

Do każdej chatki i zakątku wbiega,

Niech się po całym kraju dziś rozlega,

Po tysiąc tysięcy razy.

I serce ogniem niebieskim rozdmucha,

W olbrzymie kształty wzniesie siłę ducha.

Do broni, Jezus Marya!
 Starcze! stóp siły pozostałe w życiu,
 Z młodzieńca jeszcze nierozkwitłą siłą —
 Mężu! opuszczaj małżonkę zażyłą,
 I synka twego w powieciu;
 W imię wszechmocne, w imię przodków wiary
 Na ołtarz nieście ostatnie ofiary.
 Do broni, Jezus Marya!

— — —

(Wojska nasze na Litwę wyprowadzone pod dowództwem generała Chłapowskiego i Giełguda składają broń na granicy pruskiej. — Generał Dembiński wraca do Warszawy, a tak powstanie litewskie zupełnie przytłumionem zostaje. Tymczasem po śmierci Dylicza feldmarszałka rosyjskiego, Paszkiewicz komendę ujawszy, wszystkie siły nad Wisłą koncentruje, i do przeprawy przygotowania czyni. W całej Europie spokojność. Prusacy wszelkimi sposobami łamią neutralność przyrzeczoną — Francja nieczułem okiem na sprawę naszą spogląda — sami sobie zostawieni jesteśmy.)

DO LUDÓW.

(W Warszawie dnia 27 Lipca.)

Śluchajcie ludy! — Kiedyś — niedawno
 Żył naród wielki i wolny,
 I zginął zdradą. — Świat nie był zdolny
 Czuć zdradę, zbrodnię tak jawną,
 Śluchajcie dalej! — Później znów ożył
 W swojego prawa obronie,
 Krew lał strumieniem i chwilę pożył,
 Świat go opuścił przy zgonie!
 Tu przerwa w dziejach! — W wielkim narodzie
 Inne jest życie, śmierć inna,
 Choć upadnie, dusza jest czynna
 Jak słońce — gdzieś — po zachodzie!
 Łzami karmione serce tężeje,
 Czucie zamknięte w moc rośnie,
 I życie wszakże wzmacnia się po śnie,
 Po stracie wschodzą nadzieje!
 Błysz! — jak księżyc w kłębie chmur błyska,
 Choć przed nim tarcz swą noc trzyma,

Jak w nocy ciemnej, choć słońca nie ma,
Z wiecznego słońca ogniska
Gwiazdy przypomnień błyszczą oczyma,
I śmierć — gdzieś zbudza no nowo :
Błysły, i ręka była gotową,
I ciałem stało się słowo!

Opadły więzy! — i powstał naród,
Wybiła chwila — skończono.
W młodości, dojrzał enót wielkich zaród,
Młodości, zrosło się grono.
Ramie z ramieniem siłę stworzyło
Zapał się w cuda rozwinął,
Ludy! — ten naród, który zaginał
Dziś ducha zmartwychwstał siłą!

O gdybym we łzach mógł moje pióro,
We krwi umoczyć niewinnej!
Gdyby jęk matki i płacz dziecinny,
W pieśń można przelać ponurą,
Spiewałbym Bogu, ludziom i światu,
Przyszłości, wiekom po wieku,
Jak z jarzma rękę brat dawał bratu,
Czem jest duch twórczy w człowieku!
Dziś — w potop zdarzeń arka już pchnięta
Na czasu wznosi się fali,
Tylko majtkowie niech będą śmiali,
Porwijmy kotwicy pęta.
I płynąć! mniejsza że niebo się chmurzy,
Stér naprzód — na wiatry żagle!
Piersią naglijcie jak ja bieg nagłą,
Wolność jest celem podróży!

Oczy na gwiazdy, rękę na stérze
I tak przez czasu obszary,
Kto myśli szczerze, kto działa szczerze,
Kto pełen czucia i wiary,
Takiego majtka morskie topiele
I losy szanują ziemi;
Jego duch jako ołtarz w kościele
Nad człkiem — między świętymi!
Puścim gołąbka — ptak srebrnopióry
Niechaj świat cały okoli.

Niechaj się wzbija w niebo do góry!
I znów się zniża do woli.
Jak ptak Noego dojrzał gór barki
I różeczkę przyniósł oliwy,
Tak i nam różeczkę świat litościwy
Przez gońca przyśle do arki.
Wzleciał i zniknął — o bracia moi!
Paść nam przed Boga obliczem;
Tam każda cnota na wadze stoi
I cud u Boga jest niczem.
Bóg może natchnie narodom duszę,
Krew to ich serca się leje;
Ludy, pomnijcie! wspólne są dzieje
I wspólne ludów katusze.
Patrzcie, o patrzcie, jako bez miary
Krew nasza płynie strumieniem;
Już pokolenie za pokoleniem
Ginie jak w ogniu ofiary.
A wy płaczecie! — marne płkanie,
Gdy działać trzeba z zapalem,
Upadniem — wieczność naszym udziałem
Ale cóż z wami się stanie?
Jak krwią twarz zbawcy, na chuście świętej
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam, ludy, cud niepojęty,
Tajemna krwi naszej siła,
W pamięci nasze męczeńskie życie
Obraz mąk naszych wytłoczy;
Każda myśl wasza mieć będzie oczy,
I każda na nas spójrzycie!
Zabitych matek tysiące, matka,
Brat, tysiąc braci przypomni,
A wasze dzieci, wnuki, potomni,
I aż do wieków ostatka,
Jak my za wolność giniemy razem,
W jarzmie upadną pod mieczem,
I umrą dla was z kłatwy wyrazem,
Bo my wam dzisiaj złorzeczem!
Słuchajcie, ludy! — kar bliska chwila
Prędzej czy później uderzy,

Patrzcie, duch reszty wolnych rycerzy
 'W siódmej się pracy wysiła;
 Siódmy już miesiąc prac u połowy
 Lecz słyszcicie, ósmy nie minie,
 Świat wielki, wolność, wszystko zaginie
 Jak płomyk lampy grobowej!

Jeden-li tylko na martwym tłumie,
 Na trupach licznej czeladzi
 Tron swój żelazny, ciężki osadzi,
 Tron wyniosłości i dumie.
 Złamtąd — o zgrozo — resztki narodu,
 Szkielety w człeka postaci
 Zarządzać będzie aż w więzach z głodu
 I mordów, reszty nie straci!

To wasza przyszłość! — płaczcież więc, ludy
 Nie nas, lecz własnej kolei,
 My — półki serce — nie zginiem wprzód.
 Nie traćmyż bracia nadziei.
 Jak dusza z ciałem tak się dłoń z dłonią
 Do końca potrzyma szczerze,
 Mniejsza co przyszłe losy odstonia,
 Umrzemy w wolności wierze!

W OBOZIE POD BOLIMOWEM.

(Dnia 5 Sierpnia.)

Kiedyś — z czasem — gdy w siedzibie
 Przodków moich, w chatce mojej,
 Znów zasiądę wśród rodziny,
 A słońeczko się złotem przejrzy w starej szybie,
 Może i pamięć złotem się obstroi —
 Wtenczas, słuchajcie wszyscy — nie błahe nowiny
 Lub miłości zastygłe, uczucia kłamliwe
 Zasłyszycie w powiatce — ja mą duszą stanę
 Nad przeszłości brzegiem.
 Utonę w niej, jak w pięknym cichych wód kryształach,
 Gdy z wichrami przejdą fale.
 Tonie księżyc swym obiegiem,
 I oko w głąb wciskając, ślady znane kradnie
 Okrętów zgruchotanych i koralów na dnie.

Może powieść, wspomnienie przez zapalę mowy
I przez waszą uwagę do czucia się wzbije,

Wtenczas jeśli dłońcie czyje
Arfę zwykły obiegać — niech sięgną ku stronie,
Muzyka twoja w pamięć moją wwionie
I śpiewać zaczę do grania połowy!

Wsparty na żony ramieniu,
Lub dłoń ciskając przyjaciela,
Pójdę za głosami twemi,
A gdy zakończyć będziesz, i w ostatniem brzmieniu,
Ostatni przegraj w strony ręka porozstrzela,
Ja śpiewać zaczę — wtenczas ty wolnemi
I ciższymi dźwiękami dopomagać śpiewom;
Tak rosa z niebios pada, i kwiatom i drzewom
Do porostu kropelką czystą dopomaga;
Tak i hymn pobożnemu, kiedy Boga błaga.

Jako starzec znużony lubi dawnym czasem,
Upominkiem z przeszłości przymilił wieczory
Z końcem grudnia zakrzepłej i zimowej pory,
Kiedy siedząc spokojny za świata hałasem,
Ledwie zasłyszysz jak wiatr szyby drażni:

Tak i często człek młody,
Po odbytej w swem życiu zawichrzeń kolei,
Szczęśliwy jeśli myślą przeszłość zbiegłszy wprzód,
Gdy nigdzie nie spotyka i śladu nadziei,
Może jeszcze zamarzyć na łonie przyjaźni!

(Zmiana naczelnego wodza — Dzień 15 i 16 Sierpnia —
wojsko cofa się pod Warszawę. — Prezesem rządu Kru-
kowiecki — Dnia 6 i 7 Września szturm Warszawy.)

W NOCY PO PIERWSZYM DNIU SZTURMU.

Spojrzałem w niebo — gdzie noc płaszczył swój ciemny,
Jak kir żałoby zwiesiła,

Gdy tam jej nie ma — gdzież jest boska siła!

Gdzie jest Bóg dobry, wzajemny?

Patrzyłem długo — i w niebios przezroczy

Jak lampy grobu gwiazd błysło tysiące

I błysły jako oczy konające!

I z nieba spuściłem oczy!

Spojrzałem na dół — a tam trupów stosy ;
 Ziemia leżała jako olbrzym czarny,
 Z ust swych buchała parę mgły ofiarniej,
 Czy przekleństw technienie. — I słyszałem głosy,
 Głosy jęczące konających w koło !

I z ziemi podniosłem czoło !

Tłali radośnie w około ogniska,
 Tu naszych — z drugiej strony ogień wroga ;
 Tak blisko zemsta — nienawiść tak bliska,
 A śpią dokoła, i spokojni wszyscy !
 Westchnąłem — tak i ludzie Boga bliscy,
 A przecież wiecznie wzgardzeni od Boga !

Nim zorze niebo na wschodzie zapłoni,
 Jak na sąd boży rwą się wszyscy razem,
 Krzyczą okropnie do broni ! do broni !

Szczekają w około żelazem !

I ja dosiadłem dzielnego rumaka,
 Serce mi żywiej, mocniej uderzyło ;
 Pędzę — za wolny — chciałbym skrzydłem ptaka
 Chciałbym na wroga olbrzyma w paść siłą,
 Życie mu strzaskać prawicą Kaima,
 Pędzę jak ślepy — sam Bóg mnie nie wstrzyma !

(Dnia 8 Września wojsko nasze ustępuje do Modlina — później do Płocka. Dnia 23 Września rada wojenna, na której sześciu tylko generałów za trzymaniem się do ostatka wotują. — Sejm się zbiera. — Nad wieczorem generał Umiński ogłoszony naczelnym wodzem, w dwóch godzinach po obraniu, widząc że się inni bić nie chcą, naczelnictwo składa — wojsko nasze waleczne, ani w jednej bitwie nie zwyciężone, z rozkazu ostatniego wodza naczelnego, generała Rybińskiego, na granicy pruskiej broń składa, i do Prus wchodzi.)

WCHODZĄC DO PRUS.

Gdzie wojsko nasze bitne? gdzie Wawru rycerze?
 Gdzie Grochowa zwycięzcy, Warszawy obrońce?
 Ich sława w burzy tonie jak skrwawione słońce
 Zaszło — na tamtym świecie miejsce swe zabierze!
 Szczęśliwy kto schronienie już wynalazł sobie,
 Jak pielgrzym co przed burzą w ciemną grootę bieży;

Tak on wszedł w grób przed hańbą! Ojczystych pacierzy
Uczyć będą ojcowie synów na twym grobie!

Twoją pamięć wykarmi w krwi swojej dzieci,
Matka sycąc ją łzami z niemowlęcym mlekiem,
I z rodziny przechodzić będzie do rodziny,
I o niej tylko mówić, śpiewać wiek za wiekiem.

Nam inaczej! — zwycięzcy stoim zwyciężeni,
Naprawdę piersią pełną wzmaga się głos wojny,
Żołnierz na kij żebraka broń swoją zamieni,
I prosząc chleba rycerz — pójdzie w świat spokojny.

Kto tak przejrzał? o pytaj przekleństwa tysięcy!
Patrz na uścisk ostatni — długi — zobopólny
Matek z dziećmi — kochanków — płacz sierot dziecięcy;
I zapytaj żołnierza, czy bić jeszcze zdolny?

Stało się — wołał śmierci — umierać nie dali.
Na obcą ziemię pędzą nieszczęśliwą rzeszę,
Więc i ja tu w ojczyźnie lutnię mą zawieszę,
I z wami bracia, pójdę — dalej, coraz dalej!

Tylko jeszcze ostatni raz paść na kolana,
Raz ostatni ucałuj prochy matki twojej,
I teraz w pochód — patrzaj! — graniczny słup stoi!
Tyle ofiar — krwi tyle! napróżno przelana!

Rozłam broń — rzuć daleko — wbij nogą proch w ziemię
Gdzie nas wiodą, tam zbrodnia pokazać się z bronią,
Kusiło się napróżno krocie wrogów o nią,
Dzisiaj — może na wieki — już senna zadrzemie!

W ROCZNICĘ.

(Dnia 29 Listopada.)

Czas przyszedł zwiastowania! — Na całym zachodzie
Okrzyk powstał trjumfu — jako piorun silny. —
Był to grzmot bez piorunu! naród (1) po narodzie
Biorąc hasło Paryża, w nadziei omylnej
Porywał się z letargu — i osłabłe ręce
Ku zachodowi wznosił z jarzmiaczej niewoli.

(1) *Rewolucja Lipcowa.*

Próżno! — były to tylko okrzyki dziecięce,
 A czyn ich? — z hukiem na dół rzucona kaskada,
 Która czując wysokość, gwałtownie upada,
 Ale upadłszy — płynie zmęczona — powoli.

Narody oszukane do ziemi przypadły.
 Cicho wiały z zachodu w trzech kolorach wstęgi;
 Na północy — w dwóch światach szeroko rozsiadły,
 Car jeden, z krzykiem gniewu wzniośł berło potęgi,
 I nim trząsnął — od granic wody lodowatej
 Aż do muru chińskiego znak przeleciał Pana,
 I pięćdziesiąt milionów padło na kolana,
 I czołem uderzyły dwa pobratnie światy.
 Dał znak drugi — jak wiatrem awalansza śniegu
 Zepchnięta lecąc ślepo rośnie coraz więcej,
 Tak wojska państw ogromnych od brzegu do brzegu
 Nim się zwały — urosły w trzykroć sto tysięcy.
 I trzykroć sto tysięcy pan wiedzie nad pany,
 I drugie tyle królom wycisnie po drodze!
 I sześćkroć stotysięcznych wojsk chwyciwszy wodze,
 Popchnie w zachód — lud zdepcze — i wtrąci w kajdany.

Czas przyszedł narodzenia! — patrz — z Niepokalanej,
 Ducha świętego sprawą syn wyszedł prawdziwy.
 Młodzież go urodziła w uczucia prostocie,
 W mgnieniu oka czyn śmiały rozbłyśnięty w dziwy,
 Zachwiał w mocarzu myśli i wojsk jego krocie,
 Orzeł nasz ludów wszystkich oklaskami wzbiły
 Jak owa gwiazda wschodnich królów przewodczyni,
 Skrzydłem swém białem świata przeciągnął błękitny,
 I nad ludem swym zawisł jak lampa w świątyni!
 Arką została Polska — wolności przymierzem,
 Z niej miało światło wiary rozptynąć po świecie
 I ludy wszystkie kiedyś wierzyć jak my wierzem,
 Że przemoc upaść musi, gdy dzielnie zechcecie,
 Że olbrzyma potrafi zgnieść Wolności dziecię!

Cześć więc polskiej młodzieży! jakiej święta Panna
 Doznała kiedy Boga ujęła w ramiona.
 Cześć im! — niech w wieki późne wybawców imiona
 Nieskażone przeniesie stulezyczna sława;
 Pamięć ich łzami ludów niech będzie karmiona!

A my śpiewajmy dzisiaj hosanna, hosanna!
Wolności zbawicielki Betleem Warszawa!

Czas przyszedł męki świętej! — od Niemna do Wisły
Miasta, wioski, pożarów płomieniem zabłysły,
Wróg na nas z knutem przyszedł i z ogniem i z mieczem.
Żony nam zabijano — dzieci — niemowlęta,
Męczenników strumieniami lała się krew święta.
Biliśmy — złorzeczyli — jak dzisiaj złorzeczem;
Próżno! — napróżno waleń wzrastały mogiły,
I trzykroć siły nasze stargały ich siły,
Zwycięzcy, my nie z jednym walczyli narodem.
Z trzech stron czarne przemocy zawiały sztandary,
Dwóch królów się złączyło z północy Herodem
I Bóg zażądał ofiar — spełnione ofiary!

Bracia moi — nadzieja! — jeśli głosy wieszczę
Nie uwodzą, czas przyjdzie *Zmartwychstania* jeszcze.
Przyjdzie czas *Wniebowzięcia* — laur z krzyża wyrośnie,
Tułacz znów się zbiegną na *Pańską wieczerzę*;
Jak kiedyś apostoły Chrystusa radośnie,
My Polskę powitamy! i Polak zabierze
Miejsce między ludami, i na siłach dzielny
Jak dwa razy zrodzony — będzie nieśmiertelny!

ZAKOŃCZENIE.

w Dreźnie.

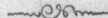
Nie miękkie rymy skandowanych wierszy,
Z których pospółstwo laur z czasem upłata,
Nie w beczynośći przemarzone lata
Wabią mi ducha — mój duch w oku szerszy
Świat cały, niebo, podgarnia pod siebie!
Jako ów żeglarz na wody przestworze,
Depcząc okrętem rozhukane morze,
Bieg swój z gwiazd czyta na wysokim niebie!

Żyłem śród burzy — myśl moja toczona
Jak wały morskie, ujęta w ramiona
Zgrzybiałej ziemi zapieśniałe końce;
Myślałem zepchnąć z starego łożyska
Ziemię schorzałą, i słońce co błyska,
I z ziemią stopić z nieba zdarte słońce!
Rozkosz to była pędzić żaglem burzy,

Na łodzi zatlić portowe latarnie,
Myśleć że łódź ta świat cały ogarnie,
Tylko mi płynąć dłużej było, dłużej!

Dopałem ziemi na drzewa odłamie,
Szukałem próżno braci mych żeglarzy :
Tu inni ludzie — cichość na ich twarzy
I łza przelotna w oku litość kłamie.
Mówić — nie pojma — język ich zgrzybiały
Długi, rozwlekły — myśl w słowach zagasła,
A czyny w myślach — nie nasze to hasła
Które króle, czas, narody drżały!

W piersiach jedynych zabrzmiały na nowo,
W piersiach raz drugi dalekiemi echy.
Wszystkie nadzieje, uczucia, pociechy,
Zrosły się w myśli — przetworzyły w słowo.
Jam śpiewać zaczął! — jak pieśnią grobową
Śpiewają pamięć tych których już nie ma,
Aż z końcem pieśni — dzisiaj — przed oczyma
Znów co innego. — rzucam gnuśne pióro,
Czynów mi trzeba w błyskawicy pędzie,
I walki z czasem — ludźmi i naturą
I wojny takiej jak w mej duszy — wszędzie!
Chciałbym znów działać i w czynów zachwycie
Na nową burzę, na nowe rozbicie
Pchnąć się — i zginąć — gdy lepiej nie będzie!



ELEGJA

NA ŚMIERĆ STANISŁAWA GRABOWSKIEGO, KTÓ-
RY ZGINĄŁ W BITWIE POD WILNEM ROKU 1831.

Kiedym cię raz ostatni żegnał przy rozstaniu,
Do zobaczenia! Wyrzekliśmy razem.
Dziś, znowu smutny, tym samym wyrazem,
Tylko na dłużej — dłużej żegnam ciebie.
Do zobaczenia! — kiedyś w zmartwychwstaniu
W wieczności — przy Bogu — w niebie!

Plakałem w życiu, ach nie jednej straty!
Łez trudno dobyć już z oka :

Zwyczajne moje są żałobne szaty,
A w sercu żalność głęboka.
A przecież — dzisiaj — i twarz bardziej blada
Suknia czarniejsza — lza spada!

Nie ma — już umarł! — okropne to słowo
Przyjaźni ludzkiej na ziemi;
Tobie jest niczem — ty między świętymi
Włożyłeś suknię godową;
Suknię wieczności, opuściwszy ciało!
Nam życie w smutku zostało!

Z palmą męczeństwa, ty z lilją białą,
Ręką wiedziony anioła,
Boga i niebo otrzymałeś w dziale!
My w płaczu — nadzieję całą,
Nasz święty orszak są żałobne koła,
A naszą wiecznością — żale!

Płaczmyż więc, płaczmy! ty módl się za nami,
I za mnie dołącz pacierza;
Bóg może twemi nie wzgardzi modłami,
Prośbą anioła rycerza.
I żyć przestanie tułacz nieszczęśliwy,
I tam ożyje — nie żywy!

Do zobaczenia! z czasem i ja płynę,
Będziemy razem po chwili;
Może zabiją jak ciebie zabili,
Twoim przykładem niech ginę;
Twoją modlitwą urosną zdarzenia,
Mój Stasiu! do zobaczenia

SONETY WOJENNE.

*Jenerałowi Umińskiemu w dowód szacunku
wysokiego i na pamiątkę kampanii z roku 1831
pod jego rozkazami odbyćj,*

Poświęca Autor.

Drezno dnia 7 Grudnia 1832 r.

I. WSTĘP.

Jak na sąd, kiedy zagrzmi trąba archaniola,
Rozpadnie się grunt ziemi jak przerźnięty stałą,
Ludzie, narodów tysiąc, jako listki falą
Porwane będą, skoro głos wielki zawoła;

Na jedno słowo świat się zmieni w gmach kościoła.
W kadzielnicy wszechmocnej słońca ziemię spala,
I popioły opadłe złych w piekło powala,
A ku niebu się wzbije drużyna wesola,

Tak tu, na ziemi, bitwa sądu jest obrazem.
Od jęku dział i grzmotu ziemia drży w przeststrachu,
Kłęb się dymi po kłębie, jak ręka w zamachu

Wznosi w górę, i znika gdzieś w niebieskim dachu,
Barbarzyńcy z przekleństwa konają wyrazem;
My z rozkoszą za wolność umierajmy razem.

II. NATARCIE KONNICY NA KONNICĘ.

Znak do natarcia dany — wtem dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
Wolno się posuwają na wietrznej topieli,
Coraz bliżej nadechodzą krwi i mordów cheiwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywą,
I parsknął — okiem strzelił — i żywiej i śmielej

Kopytem dziarskiem ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz slychać—patrz—na skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mięszają się — kto wygrał? nie rozpoznać w dali
Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali!

III. WZIECIE ARMAT NA GÓRZE STOJĄCYCH.

Parskają w biegu rączym rumaki gorące,
Na koniach młódź bojowa posuwa się nagle,
Wieją nasze proporce jak zwycięstwa żagle,
Lasem sterczą do góry lanc ostrzych tysiące.

Tam, na gór wierzchu stoją działobitnie grzmiące,
Te wziąć trzeba! — I lance z ręki na dół nagle
Spuścili z szumem wszyscy — i ja konia nagłą,
I ja w ten potok żywy konia nogą wtrącę.

I wtrąciłem, i pędzę jak kropla w potoku.
Marsz! marsz! już koń rwie wiatry, już ziemia zadrżała,
W tem błysk z grzmotem — kartacze świsnęły w obłoku,

Sto koni i jeźdźców w rączym padło skoku;
Sto lanc stu razem przebodło kanonierów ciała,
Szańcowane w półokrąg — nasze były działa!

IV. NATARCIE KONNICY NA KARE-BATALJON PIECHOTY.

Bracia! żwawo w czworobok — broń naprzód i oko,
I nie strzelać i śmiało czekać ich napadu!
Jako chmura śród lata ciężarna od gradu,
Ciągnąc z wiatrem ryczącym nad ziemią szeroko,

Gdzie przejdzie — w dole pusto — niebo émy zawłoką,
Tak rycząc, z szczękiem broni, władzie i bez ładu
Pędzi jeźdźców tysiące — tuman, znak ich śladu,—
Koń rątszy jest od chmury, bagniet nie opoką!

Serce od skały tęższe! — W niewzruszonym rzędzie
Nasi stoją i milczą — już blisko przypadli.
Jeśli jeszcze postąpi wściekła dzicz w zapędzie,

Koń dziarski w mgnieniu oka w szrankach naszych będzie.
Nasi milczą — czy jeźdźcy pewną śmierć odgadli?
Uciekają — strzelajmy! — Koń i jeździec padli?

V. UDERZENIE NA BAGNETY.

Bęben zagrział — krok większy — zbliżać się zaczęto
Sto bagnatów na czele sterczy z pod ramienia,
Na ich ostrzu milionów leżą przeznaczenia,
I wrogów rośnie żołnierz w kolumnę ściśniętą.

Z stron obydwóch na wiatry chorągwie rozpięto,
Z pokoleniami dzisiaj całe pokolenia
Walczyć mają o palmę zwycięstwa, zniszczenia,
Dziś triumf albo drugie męczenników święto!

Więc naprzód! Tysiąc głosów z strony naszej wrzasło!
Proch z panewki! — zsypali — już biegną — skryj broni
Widać w kurzu — wróg strzelił — dym zaćmił — gdzie oni!

Wszystko jak w kotle jakim zawrzało i zgasło.
Ale patrz — orzeł biały wieje przy pogoni,
Pod nim trupy — i w niebo zwycięstw bije hasło!

VI. SZTURM DO OKOPU ODPARTY.

Warczą kule w powietrzu — śmigają granaty,
Jeden wpadł do okopu — kręci się i pęka —
Zamięszanie — tam kadłub — tu noga — tam ręka,
Tu ratują — tam z trupa krwawe ciągną szaty;

Na wale znów windują do góry armaty,
Pod spiżu ciężarami ziemia gnije się miękka,
Zwindowali — nabili — i kanonjer kłęka
I celuje — on pomści krwawej naszych straty.

Już lont swój zapalony drugi w rękę trzyma,
Przyłożył — strzelił — dym się skłębił wzniósł i znikną
Ale co za krzyk! — Wróg się do szturm pomyka.

Śmierć lub odparcie — innej nadziei już nie ma,
Za broń! — kartacze w działa — śledzim go oczyma,
Ognia wszyscy! — Wał urósł z trupów najezdznika!

VII. ZWYCIĘZTWO.

Jakiż to grzmot, i krzyki, i światło, i chmury,
Czy słońce nowe wstaje z błyskającej zorzy?
W kłębach się ćmi migoce sto tysięcy noży
I głos słyszę — to anioł śpiewa hymn u góry!

Śpiew ten zabrzmiał na dole zwyciężkami chóry:
Jak człowiek prawowierny wyrok śpiewa boży,
Nim mu śmierć palmę niebios na skronie położy,
Nim po życiu doczesném duch zabłyśnie wtóry.

To naszych okrzyk zwycięstw — i spełnione losy!
Dym opadł, i grzmot ustał, i krzyki ustały,
A jak pięknej dziewicy spływające włosy

Twarz odsłonią — tak sztandar, wzniesiony w niebiosy,
Opuścił żaglom zwycięstw na dół powiew cały:
Meteorem za wrogiem błysnął orzeł biały.

VIII. PUŁK NOWY.

Naszych szwadron rozbity — ratuj się, kto żyje!
Już ucieczka jedyną żołnierza obroną;
Suwa koń — suwa jeździec — i broń ma spuszczoną,
I przypadł na kark koński — koń wyciąga szyję,

A kopytem kurz miecąc wrogom w oczy bije.
Napróżno — liczne pułki z krzykiem w kurzu toną,
Już nie jednego z naszych przepędził grot łono;
Już i reszty nie schroni dziś skrzydło niczyje!

Nadzieja! — jakaś garstka — tam — bliżej podchodzi —
Z krzyżem w ręku ksiądz, na ich postępuje czele,
A cicho w ich szeregach jak przy mszy w kościele.

W tem : — « Ojczyzna niech żyje, przyjaciele młodzi! »
Wódz zawołał — i naprzód! bębny grzmią pułkowe,
Było widzieć jak czynem stwierdzili tę mowę!

IX. SPOTKANIE KONNICY Z KONNICĄ W BORU.

Przednia straż dała ognia, i ku nam ucieka;
 Patrole w prawo, w lewo, jako bór szeroki,
 I pierwszy pluton naprzód — życia koniom w boki!
 Marsz, marsz z miejsca! — Wypadli człowiek na człowieka.

Krzyk — strzały — powstał tuman — nie dojrzy powieka;
 Zwarł się pluton z plutonem, jak z jednej opoki
 Dwa nadęte wytrysną — zerwą się potoki,
 Nim z wód nieprzyjacielskich światu wzrośnie rzeka.

Ale patrz, pluton pierzcha, baczność! w lewo, w prawo!
 Drugi pluton i trzeci, lance do ataku!
 Droga wolna — szlusować — rumak przy rumaku —

Marsz, marsz! wypadli znowu i z krzykiem i wrzawą.
 Tylko tą razą Moskal przypłacił nam krwawo:
 Trzech jeźdźców legło z Moskwy przy każdym Polaku.

X. POSTERUNEK NA STRACENIE.

« Wy idźcie! — ja z wyborem zostanę młodzieży,
 « Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci,
 « Na znak ogień rozłożym i zapalim wici,
 « Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

« Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
 « Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświci,
 « I za tych modły wzniesie, co w polu zabici! »
 Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
 Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną,
 Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
 Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
 Na mszę dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!

XI. NAPAD NA OBÓZ NIEPRZYJACIELSKI.

Tli jutrenka na wschodzie — zacząć się w krzaki —
 Cicho z lasu — niech szabla nie brząka, nie błyska.

Ha! — patrzcie — tam na prawo — widać ich ogniska;
Kozak na przedniej straży wyrasta z kulbaki.

Zoczył nas — koniem na wschód wykręca majaki (1),
Nie spodziewał się dzisiaj takiego zjawiska;
O! poznał — konia zwraca — i w lot nazad pryska;
Więc i my żwawo naprzód rozpuścimy rumaki.

W prawo, w lewo i hurra w całym konia pędzie,
Hurra! Zagrzmiały trąby od końca do końca;
W obozie rwą się senni, zgiełk, wrzawa, krzyk wszędzie.

Ten ledwie dosiadł konia — ten już nie dosiędzie —
Nie uciec najeźdźnikom od polskiego gońca.
Pięćset jeńców! — Czekajmyż wschodzącego słońca!

XII. OSTATNI KANONIER.

Konie wszystkie poległy — żołnierze wybici —
Dowódzca tylko jeden z dwoma pozostały,
Oszanćcowany w trupy jak w zastępne wały,
Z dwóch armat ciągle bije, i dymi, i świeci.

Lecz napróżno — krwi, mordów wrogowie niesyci
Baterjami na zastęp uderzają mały;
Wkrótce się wróg zwycięstwem zupełnem poszczyci:
Wody nie ma — spiż w ogniu — kurzą się zapaly.

Więc strzelać zaprzestano — śród kul, w siarki dymie,
Trzech z lontami jak duchy migają się zdala;
Nieszczęście! Kula znowu jednego obala!

Co za krzyk? — Zkąd ten wystrzał? czyjeś słyhać imię,
Imię wołając brata, spiż moczy w krwi bratniej
I znowu dym: i świeci kanonier ostatni.

XIII. PRZECZUCIE ŚMIERCI.

Już ognie rozłożyli szerokie dokoła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni;
Tu głos słyszeć bezbożnych, tam nabożnych pieni:
Zdaleka straż, co chwila, hasła głucho woła.

(1) « Wykręcają majaki kozacy » mówi się gdy znaki
sobie dają zwracaniem w różne strony konia.

Jednemu tylko smutno — jego pieśń wesółą
Nie rozśmieszy, nabożna, tęsknoty nie zmieni,
I błądzi między wrzawą, jak śród grobów cieni;
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.

Pytałem o przyczynę — nie nie odrzekł na to.
Myśleć z drugim, samotnie czuć zawsze jest milęj;
Może i on przyczyny nie wiedział w tej chwili;

Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą;
Może się żegnał w sercu z rodzicielską chatą.
Nazajutrz — bitwa była — i jego zabili!

(Dnia 10-go Marca 1833 o godzinie 4tej w Dreźnie.)

Piersi moje zbolale — myśli jako oczy
Zadumanego wieszczą, drą się w czucia głębie,
I myślami mojem palę — drętwię — ziębię,
I myślami mojem, to raz duch proroczy
Jak wywołana mara z ciemnej grobów cieśni
Wstaje, i świat przestrasza, i przyszłość odkrywa —
To znów myśl jak żrzenica na słońce drażliwa
W łzach się topi, i kona w rozrzewnionej pieśni!

Wtenczas — o wtenczas — moje piersi samowładne!
I w nich krew jak trysk światła z komety ogniska
Trząsa sercem i z serca przez lica wyłyaska;
I przez oczy i usta — leci — mdleję — padnę —
A duch mój skrzydłem wzbity wieszczego natchnienia,
Gdy jak słońce świat okiem, mnie na wskroś przesięga;
Myśl znówu jak słup pyłków gra w świetle promienia,
Albo jak tęczy, w farbach rozwieszona wstęga.

W takiej grze — w takiej walce ustawnej — bez przerwy
Myśli moje i czucie, duch, w różnym żywiole;
Gdy myśli jako orły wypuszczę na wolę,
Oczy ku słońcu ciągną — skrzydła ich nie pierwój
Zmęczone na dół padną, aż serce się wzmoże;
A gdy krew, a gdy czucie jak potoku łożę

Wydmie, rozprzeże wałów tysiące z tysiąca,
Moja myśl jak ów obraz na wodzie powiewa
Nadbrzeżnego kamienia, cienistego drzewa,
Chociaż go wał po wale co chwila roztrąca.

W nocach moich bezsennych, z rozwartą powieką,
Drżącą ręką, z uśmiechem przyjaźni, miłości,
Sięgałem gdzie na wiatry daleko — daleko —
I tulilem do serca nieprzytomnych gości!

W dzień często mowę moją, niespodzianie — nagle —
Przerywam i gdzieś w czucia przepadam odmiecie,
Jak ów majtek w odbitym od brzegu okręcie
Ginie gdy Kompas stracił — wiatr poszarpał żagle.
Czasem znów w sercu żalność, śmiech na usta pada,
Czasem znak obojętny lży z oka wywabi,
I gdy czucie wolnieje — serce bije słabiej —
Lśnią myśli jako w nocy świetlików gromada.
Z przeszłości rozrzuconych, zagasłych pamiątek
Wtenczas powstają światy jak gmachu budowa,
Tylko że czas już niczém — kres, chwila, początek
Są tylko myśli jednej wyrażenia, słowa,
Myśli wiecznej — gdzie czasy i skończoność ginie.
Lat tysiąc wtenczas mogą przeciągnąć w godzinie,
Lat tysiąc z niej wypłynąć, wyprząść się przed okiem,
I człowiek, zostać w duszy jako Bóg wysokim!

Kto to przeczuł — ten walkę uczucia i myśli
Zakończył — ten nie walczy — chce, myśli, i tworzy,
Jako w oltarzu w nim się obudził duch boży,
I w duchu z bóstwem co dzień połączony ściślej,
Codziennie zrzuca bardziej — prędzej — i na wieki —
Ciała swego ostatki jak suknie znoszone,
Aż w końcu ten co rozdarł przyszłości zasłonę,
I cielesne zasunie przed światłem powieki!

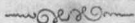
Wtenczas — o błoga chwilo — uwolniony z waśni,
Żywiołów skończoności, duch wraca do źródła
Zkąd go na chwilę tylko myśl Boga wywiodła,
Ażeby na tym świecie było lepiej — jaśniej!

Czy i mój tam powróci? napróżno pytanie —
Nie raz ja o niebiosach, Bogu, świecie marzę

Ale jeszcze godzina na moim zegarze —
Kto wie co za godzinę — czem mój duch zostanie?

Sypka popiołu może przez wiatry w przestrzeni
Rozgoniona opadnie, gdy wiatry ustana;
Różni ludzie do różnych działań przeznaczeni,
Burzliwy mówią wieczór, gdy burzliwe rano!

Jam się w szkole nieszczęścia jako wiatr na górze
Wyhodował i wyrósł, —jak wiatr może zginę;
Ale przeczekam jeszcze tę jedną godzinę —
I przyjmę z męstwem równym na co bądź zasługę!



GROBOWIEC NA GRANICACH SYBERJI.

Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima mrozem ścina duszę,
Gdzie gwałt i hańba — męczarnie — katusze,
Prawem narodu — godłem obyczajów;
Obyście nigdy nie znali tych krajów!

Miedzy wiecznością i życiem doczesnym,
Jeżeli wiara i nadzieja nie snem,
Zbawienia chwila jest w skonu godzinie;
Ale kto na wschód z zachodu popłynię,
Ten niech nadziei powrotu zaniecha!
Ach, kto raz dotknął nogą téj granicy, —
Biada wam stokroć biada męczennicy! —
Temu zagasła nadzieja — pociecha!

Dziś nowy tysiąc prowadzą z zachodu.
Są to ostatnie pamiątki narodu,
Który żył chwilę i zginął wśród życia;
Są to ostatki okrętu z rozbicia

Płynące kędy żagiel burzy spycha.
Każdy w kajdanach wiedziony od kata;
Ubiór ich płachta podarta i licha,
Gospodą, w śniegach zakopana chata.

Młodzi są wszyscy — a przecież już godłem
Starości każdy dotknięty na twarzy;
Oko bez ognia — twarz blada i cicha;
Myśl, widać z oczu, o przeszłości marzy,
Pamięć jedyném serca, ducha źródłem.
Z niej, jako z rogów złożonych ofiara,
Szczęśliwa jeszcze gdy się pysznić umie,
I w najemników pasożytnym tłumie,
Pogardza carem i słuźalcem cara!

Upływał trzeci tydzień ich podróży.
Połowa w drodze zasypana śniegiem
Zmarła na zawsze — a reszta najdłużej
Jutro w Syberji! — Nad Uralu brzegiem,
Stanęli dzisiaj ostatnim noclegiem.

Noc była mroźna — na ziemi szeroko
Jak tylko może sięgnąć ludzkie oko,
Blado — okropnie — i na niebie blado.
Gwiazdy w mgle nocnej wisiały bez blasku:
W okolo śpiących przy ogniska trzasku,
Sterezały piki; tu znużone stado
Tatarskich koni, grzebiąc mech kopytem,
Błądzi po polu — dalej straż kozacka;
Księżyc się czasem za Uralu szczytem
Pokaże nagle, to ginie znienacka.
Jutro znów pochód za najpierwszym świtem.

Zasnęli — cicho — szczęk kajdan i broni,
Czasami tylko nie wyraźnie dzwoni;
Albo przez usta senne niewolnika,
Imie się jakieś na wiatry wymyka.
O sny, marzenia, wy skarby człowieka!
Wasza opieka jak słońca opieka!
Świata całego ubieracie twory
W suknie jasności, w tęczowe kolory,
Któżby chciał twierdzić że słoneczne cudo,
I blask i kolor, spojrzenia uludą?

Albo gdy w nocy blask niknie z pomroką,
 Że nierzetelném wednie było oko?

Dwóch przecież nie śpi. — Na starszego łonie
 Młodszy — brat może — głowę swą oparty,
 Leżał i mileżał. Starszy łyż na stronie
 Długo ocierał — w końcu płaszcz podarty
 Z siebie zdjął nagle — i drżącego ciało
 Okrywa — tuli — lecz mileżeli oba :
 Jednemu pewnie na słowo nie stało,
 Drugiemu usta zamyka żałoba.

Usta milczały — lecz usta milczące
 Język uczucia mają za rozmowę.
 Tkliwszy nad zimnych wyrażen tysięcy!
 Tak więc na głowę swego przyjaciela
 Przyjaciół starszy opuszcza swą głowę,
 Technieniem gorącym technienia mu udziela;
 Usta przycisnął miękkim całowaniem,
 Rękę przycisnął ręką swoją drżącą;
 Onby chciał ducha — życie i gorąco,
 Wyciągnąć z siebie i rozstać na nim !

« Ty mnie nie kochasz, umierasz bezemnie »
 Rzekł wreszcie z płaczem ów starszy młodzieniec
 « Gdym cię rodzicom wydzierał tajemnie,
 « Ze mną męczeński chciałaś dzielić wieniec,
 « Ze mną przysięgałaś żyć, umierać razem !
 « Uciesz kochanka jedynym wyrazem,
 « Powiedz że żyjesz — że kochasz — żeś moją ! » —
 Próżno ! — Przelotny na licach rumieniec
 Błysnął na twarzy, jak w nieba przezroczy
 Zachodnem słońcem chmury się ustroją,
 I znowu czarne — w ślup zbłądzone oczy,
 Skryły się nagle w powiece otwartej;
 Usta jej sine — przestała oddychać —
 Ale i żalów kochanka nie słychać.

I cicho znowu — aż zrana, gdy warty
 Znak do pochodu dały obozowi,
 Gdy niewolnicy stanęli gotowi,
 Dwóch tylko z miejsca swego się nie ruszy;
 Przybiegli — patrzą — oboje bez duszy.
 Zakrzepłe ręce trzymały się silnie,

Usta spojone w całowaniu stygły,
Oczy na siebie wyteżone zgasły,
I tak są razem — jako nieomylnie
Żelazo leci do magnesu igły,
Albo w bój hufce, znajomemi hasły.

Sród dzikich stepów grób im wykopano,
Grób ich granicznym zostanie kamieniem;
Może i kiedyś zbawcami zostaną!
Bo słońce swobód, wiecznóm przeznaczeniem,
Miłości ofiar wygrzane płomieniem!

K O N I E C .



Paryż w drukarni braci Rouge, Dunon i Fresné,
ulica du Four-Saint-Germain, 43.

DZIELA DOTĄD WYDANE

- KSIĘGI NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA
POLSKIEGO, przez Adama Mickiewicza.
PAMIĘTNIK PÓŁKU JAZDY WOŁYŃSKIEJ 1831 r.
przez Karola Różyckiego.
MOWA O NARODOWOŚCI POLAKÓW I POŚLANIE
DO BRACI WYGNAŃCÓW, K. Brodzińskiego.
ARTYKUŁY PIELGRZYMA, Adama Mickiewicza.
PSALTERZ DAWIDOWY, Kochanowskiego, t. 2.
MARJA, powieść ukraińska, Małczewskiego.
WZYWANIE DO POKUTY, przez Piotra Skargę.
DZIENNIK PODRÓŻY Józefa Kopcia.
WIEŚNIAW I PIĘŚNI ROLNIKÓW, Brodzińskiego.
POCZĄTEK I PROGNOZ WOJNY MOSKIEWSKIEJ,
przez Stanisława Żółkiewskiego.
TURENY, SATYR I WYDZKI, Kochanowskiego.
WSPOMNIENIA Z CZASÓW WOJNY NARODOWEJ
POLSKIEJ 1831 r. I SONETY WJENNE przez
Słomę Garczyńskiego.
PAMIĘTNIK OBLĘŻENIA CZĘSTOCHOWY 1655 r.
przez ks. Augustyna Kordeckiego, t. 2.
KONRAD WALLENROD, Adama Mickiewicza.
ZAMEK KANIOWSKI, Seweryna Goszczyńskiego.
DUCH OD STEPÓW, Bogdana Zaleskiego.
KANTYCZKI. (Według wydania 1785 roku.)



Każde dzieło sprzedaje się osobno po 25
centymów, a z przesyłką po 30 centymów.
Na papierze bardzo cienkim 50 a.
Odbito kilka exemplarzy na papierze weli-
nowym z tytułem kolorowanym 5 fr.
Zapisujący się na drugą serję z dwu-
dziestu tomów złożoną w cenie 6 fr., otrzymy-
wać będzie każdy tom franko w miarę ich wy-
chodzenia z pod prasy. — Biorący 100
exemplarzy jednego dzieła, (cena 25 franków,)
będzie je miał również franko odsyłane.

W druk. braci Rouze, Paryż, u. du Four-St. Gerin. 12.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W ŁODZI

379979

TYLKO NA MIEJSCU

